

Vanessa Mozdzer

Ślad anioła



Vanessa Mozdzer

Ślad anioła

Ślad anioła — Vanessa Moździer

Copyright © by Vanessa Moździer, Warszawa 2024

Wszystkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórcy.

Redakcja: Alicja Gajda

Korekta: Jolanta Adamczak

Okładka — ilustracja i opracowanie graficzne: Maria Kecman

Skład i łamanie: Tobiasz Małysa (www.grafista.pl)

Zdjęcie autorki: Patrycja Potera/Sielanka Studio

Wydanie I

Druk:

www.sowadruk.pl

Wydawca:

vandom (www.wydawnictwo.vandom.pl)

ISBN druk: 978-83-971733-0-9

ISBN e-book: 978-83-971733-1-6

ISBN audiobook: 978-83-971733-2-3

**Tobie,
byś również był aniołem,
który pozostawi ślad w życiu innych**

Rozdział 1

Przeznaczenie

— Wierzysz w przeznaczenie? — Głos kobiety z trudem przebił się przez gwar rozmów i szum telewizora wiszącego na ścianie za barem.

Zignorowałem pytanie, nie odrywając spojrzenia od telefonu, na którym czytałem ostatnie maile z pracy. Laura znowu przypominała sobie o rzeczach do zrobienia na już. Zerknąłem na zegarek u góry ekranu. Dwudziesta pierwsza czterdzieści dwie. Mail wysłała pół godziny wcześniej. Moja szefowa uwielbiała to, że jako aplikant byłem jej osobistym niewolnikiem. Przekląłem w myślach. Jutro od rana będę miał co robić. Podniosłem głowę i nieprzytomnie spojrzałem na siedzącą obok Monikę. Zmarszczyłem brwi.

— Czy wierzysz w przeznaczenie? — powtórzyła i uśmiechnęła się pełnymi, zamkniętymi ustami. Jej brwi lekko uniosły się w oczekiwaniu, a spojrzenie skierowało prosto na mnie. Zamrugalem, chcąc zrozumieć, co właśnie powiedziała.

— W przeznaczenie? — zapytałem, próbując zyskać na czasie.

Obróciłem głowę w kierunku siedzącego naprzeciwko przyjaciela. Nawet na mnie nie spojrzał. Jedną ręką podniósł piwo, drugą wepchnął do ust garść frytek. Wyszczrzył się do dziewczyny siedzącej obok. Pociągnął solidny łyk z kufła i pokiwał głową, dając znak, że słucha jej z uwagą. Nie pomoże mi. Nabrałem głęboko powietrza i znów

skierowałem spojrzenie na Monikę. Zmusiłem usta do ruchu. Mięśnie twarzy napięły się, w niezbyt szczerym uśmiechu.

— Cóż... — zacząłem elokwentnie. — Nie.

Zamrugła wyraźnie zaskoczona. Jej usta ułożyły się w literkę O.

— Naprawdę? Czyli nie wierzysz w to, że nic nie dzieje się bez przyczyny?

Po co drążyła ten temat? Poprawiłem się na twardym, drewnianym siedzisku przy naszym czteroosobowym stoliku. Odłożyłem telefon na blat i odwróciłem się w jej stronę. Westchnąłem krótko. Poczulem nieodpartą ochotę, aby odpowiedzieć jej z uszczypliwością, ale gdy zobaczyłem jak smutnieje, a na twarzy maluje się rozczarowanie... Po prostu nie miałem do tego serca.

— Uważam, że każdy z nas decyduje o swoim losie — stwierdziłem.

— No tak... Ale czy naprawdę myślisz, że na wszystko masz wpływ?

— Może nie na pogodę, ale poza tym... — Wzruszyłem wymownie ramionami.

Sapnęła, jakby była mną rozczarowana. Zwróciła się w moją stronę całym ciałem.

— Nie możesz powiedzieć, że absolutnie nigdy, przenigdy nie pomyślałeś, że coś się wydarzyło z jakiegoś powodu. Że coś po prostu było zaplanowane, poza twoją kontrolą. Specjalnie dla ciebie. Jak przeznaczenie.

Pokręciłem energicznie głową.

— Przeznaczenie to chwyt marketingowy. Wymysł autorów książek fantastycznych albo tanich romansideł. Ludzie, którzy mówią o przeznaczeniu, to przeważnie ci, którzy nic w życiu nie osiągnęli.

Monika wyprostowała plecy, po czym odsunęła się ode mnie. Brwi miała mocno zmarszczone, a usta ściągnięte.

— Wybacz, ale tak właśnie uważam — powiedziałem szybko, czym nie dałem jej szansy na ripostę. — Jasne, może się zdarzyć, że ludzie mają pecha. Temu nie przeczę. Ale w ostatecznym rozrachunku, jeżeli

komuś naprawdę na czymś zależy, może to osiągnąć. Niezależnie od czynników zewnętrznych. Tylko czasem wymaga to więcej pracy, więcej poświęcenia niż u innych.

— Mariusz...

— Nie, nie przekonasz mnie, że coś takiego jak przeznaczenie jest prawdziwe. To bzdura.

— A co z twoim egzaminem? — ożywiła się nagle, zdeterminowana, by udowodnić, że nie mam racji.

Zamrugalem zbity z tropu.

— Z jakim egzaminem?

— Z tym na studiach. Pamiętasz? Wiele razy opowiadałeś mi tę historię z trzeciego roku, jak to wykuty na blachę wstałeś specjalnie wcześniej, żeby wejść do sali egzaminacyjnej jako jeden z pierwszych.

— Tak, ale... — próbowałem przerwać. Monika najwyraźniej postanowiła użyć moich własnych słów, by udowodnić swoją rację.

— I co się wtedy stało? Budzik zadzwonił. Wyszedłeś o czasie. Niby wszystko zgodnie z planem. A potem autobus nie przyjechał. Przyznasz, że to było poza twoją kontrolą?

— Tak, ale... — powtórzyłem jak głupiec.

— Okej. Potem przyjechał kolejny autobus. Jeszcze mieściłeś się w granicach błędu czasu dojazdu, prawda? — zaakcentowała jak pytanie, choć w rzeczywistości nie czekała na żadną moją odpowiedź. — Mogłeś na spokojnie, jeszcze z zapasem, zdążyć na egzamin. Wszystko byłoby pięknie, gdyby nie to, że na kolejnym skrzyżowaniu autobus zderzył się z osobówką. Nic groźnego, ale kierowca już nie mógł jechać dalej. Do stłuczki trzeba było wezwać policję.

— Przypadek — wtrąciłem szybko, wyrzucając z siebie słowo z prędkością wystrzału, by zmieścić je w czasie, kiedy Monika nabierała tchu.

— Czyżby? A co było dalej? Tyle razy opowiadałeś z ekscytacją, jak biegleś przez trawnik na środku ronda, a potem na przystanek,

przepacając koszulę pod marynarką. Autobus miał być za pięć minut. Spoko. Jeszcze miałeś czas. Ale minęło siedem, potem dziesięć, a ty dalej czekałeś. Dopiero po kolejnych pięciu minutach, kiedy już przebierałeś nogami na przystanku, co chwilę zerkałeś na zegarek, na horyzoncie pojawił się autobus. Czy nie tak mówiłeś? Wydaje mi się, że nawet zacytowałam cię co do słowa.

— Tak, ale...

— I dojechałeś na uczelnię. W końcu — przerwała mi po raz kolejny.

Zmarszczyłem groźnie brwi. Dość tego. Jak kiedykolwiek miałem być dobrym adwokatem, skoro nie potrafiłem przebić się przez słowotok i mierną argumentację mojej nowej dziewczyny? I to nawet nie prawniczki.

Otworzyłem usta, ale znów była szybsza.

— Wpadłeś do budynku, na piętro. Zmęczony, spocony i cały w nerwach. Chwytasz za klamkę, już wiesz, że zaraz usiądziesz w sali i zaczniesz egzamin, a tu niespodzianka! Drzwi zamknięte! Sala przecież dobra, jesteś tego pewien. Patrzysz na zegarek: dziewiąta zero cztery. Cztery minuty. Tyle ci zabrakło.

— Okej. Zabrakło. Spóźniłem się. Nie wszedłem na egzamin. Nie w tamtym terminie w każdym razie. W drugim za to zdałem śpiewająco.

— No właśnie — podchwyciła i uśmiechnęła się szeroko, jakbym właśnie potwierdził jej tezę. — Czy nadal nie rozumiesz?

Wzruszyłem ramionami, patrząc na nią wymownie. Cmoknęła niezadowolona.

— Tak miało być — powiedziała dobitnie, słowo po słowie, jakby tłumaczyła coś dziecku. Irytował mnie ten ton. Mocno zacisnąłem usta. Nie będę się kłócił. Nie będę! NIE! To bezcelowe.

Ona jeszcze nie skończyła.

— Wszystko, co się wydarzyło tego dnia, było jak idealnie zaplanowane. Każdy ruch, każde opóźnienie. Twoim przeznaczeniem było nie dotrzeć na ten egzamin.

— Dlaczego? — zapytałem impulsywnie, podnosząc głos bardziej, niż to konieczne. A przecież miałem się już nie odzywać. — Co niby to... „przeznaczenie” mi dało? Co by się stało, gdybym jednak zdążył na ten egzamin?

— Właśnie to jest cała tajemnica przeznaczenia. Nikt nie wie. Ale tak miało być — odpowiedziała z absolutną pewnością i uśmiechem pełnym wyższości. Wyglądała jak zadowolony z sytego posiłku kocur. Była przekonana, że wygrała dyskusję.

Dusza dociekliwego poszukiwacza prawdy buntowała się we mnie przeciwko takiemu zakończeniu, walcząc o dominację z logiczną stroną umysłu, która podpowiadała, żebym po prostu odpuścił.

— To najgłupszy argument, jaki w życiu słyszałem. — Słowa opuściły usta poza moją kontrolą. Logika jęknęła w proteście, ale było już za późno.

Monika skierowała w moją stronę wzrok zranionej łani. Poczułem ukłucie wyrzutów sumienia, które szybko stłumiła fala słusznego gniewu.

— Nie możesz mi powiedzieć, że wszystko, co dzieje się na świecie, a czego nie rozumiemy, jest jakimś mglistym przeznaczeniem. To bzdura i lenistwo umysłowe. Nie ma czegoś takiego jak przeznaczenie. To tylko wymówka stosowana przez ludzi, którzy zaniechali działania. Którzy osiedli w życiu w swoich wypracowanych strefach komfortu i wolą narzekać, że mają za mało pieniędzy, że awanse ich omijają, że nie odnoszą sukcesów, zamiast wziąć się do pracy, pójść na jakiś kurs, zdobyć nowe umiejętności. Jedno ci przyznam, wypadki chodzą po ludziach. Są czasem rzeczy, na które nie mamy wpływu, zgoda. Ale to żadne przeznaczenie. Co najwyżej chwilowy pech. A i z tym można sobie poradzić, jak się jest odpowiednio zdeterminowanym.

Monika otworzyła usta, by mi przerwać, ale tym razem nie pozwoliłem. Byłem zbyt nakręcony.

— Powtórzę to ponownie: nie ma czegoś takiego jak przeznaczenie. To tylko łatwe uzasadnienie niepowodzeń. Ale jeżeli wierzysz, że wszystko w naszym życiu, od spóźnionego tramwaju, poprzez omijanie przy awansach, jest przeznaczeniem, to wybacź, ale jesteś po prostu głupia.

— Mariusz! — zawołał ostro Tadeusz.

Spojrzałem na niego. Oddech miałem szybki, urywany. Serce waliło mi jak po biegu. Tad patrzył na mnie wymownie, z naganą. Potem skinął w stronę Moniki. Podążyłem za jego wzrokiem. Usta jej drgały, oczy się zaszkliły. Cholera. Westchnąłem ciężko.

— Monika... — zacząłem, ale ona tylko pokręciła głową i zerwała się z siedziska. Uderzyła kolanami w stolik. Błat podskoczył, przewracając jej drinka i moją szklankę z piwem.

Tad szybko chwycił mój telefon, a ja — tańczące po blacie naczynia. Alkohol popłynął po stole do krawędzi, a potem prosto na moje spodnie. Przekląłem cicho. Obaj z Tadem zaczęliśmy energicznie wycierać blat serwetkami, podczas gdy Monika zniknęła w wyjściu z knajpy. W ślad za nią ruszyła dziewczyna mojego przyjaciela, która wcześniej uraczyła mnie oskarżycielskim spojrzeniem. Znow westchnąłem. Miałem nadzieję, że nie wejdzie mi to w nawyk.

— Ładnie, stary. Bardzo ładnie. — Głos Tada ociekał ironią.

— Wiem — mruknąłem. Sytuacja na blacie została opanowana, więc w końcu mogłem zająć się spodniami. Przyłożyłem ostatnie suche serwetki do krocza i lewej nogawki. Znow westchnąłem. Po co było się odzywać?

— Zaraz wrócę — bąknąłem.

Poszedłem w przeciwnym kierunku, niż zniknęły dziewczyny. Prosto do męskiej toalety. W środku zmoczyłem dłoń pod kranem, dodałem trochę mydła i spróbowałem zaprać płamę. Z marnym

skutkiem. Miałem nadzieję, że chociaż zapach piwa zelżeje. Podsunąłem się w stronę suszarki automatycznej i oparłem biodrem o ścianę, uniosłem nogę pod samą dmuchawę. Drzwi do łazienki otworzyły się i wszedł jakiś inny klient baru. Kiwnąłem mu głową z kamienną twarzą, jakby to, że właśnie suszyłem krocze pod strumieniem gorącego powietrza, nie było absolutnie niczym niezwykłym. Mężczyzna tylko uniósł brwi, a potem zupełnie mnie zignorował.

Gdy poczułem, że spodnie już przeschły na tyle, by móc chodzić bez uczucia zimnego, lepkiego materiału ocierającego się o skórę, podszedłem ponownie do umywalki. Umyłem ręce, opłukałem twarz. Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Byłem blady. Pod szarymi oczami widniały wyraźne sińce zmęczenia. Odgarnąłem z czoła czarne włosy i zerknąłem na ich linię w poszukiwaniu pierwszych oznak siwienia. Nie. Jeszcze nie. Tyle dobrego. Ale nie zmieniało to faktu, że byłem zmęczony. Od dawna. Powinienem coś zmienić... Może spać o godzinę dłużej? Może pić mniej kawy?

Wróciłem do naszego stolika jako ostatni. Nie czułem się winny, choć obie kobiety patrzyły na mnie jak na zbrodniarza. Nie chciałem już dalszych dyskusji, udowadniania racji. Bez słowa ująłem dłoń Moniki, zmuszając ją do wstania. Pochyliła głowę. Objąłem ją mocno, wtuliłem głowę w zagłębienie jej szyi i szepnąłem prosto do jej ucha:

— Przepraszam. Ostatnio jestem zbyt drażliwy. Nie powinienem był tego mówić.

Poczułem, jak wolno unosi ręce i oplata je wokół mojego pasa.

— Przepraszam — powtórzyłem. Wiedziałem, że należało to powiedzieć.

Usłyszałem, jak pociąga nosem. Nie. Tylko nie to. Nie udźwignąłbym dzisiaj jeszcze łez. Szybko odsunąłem się od Moniki, ująłem jej twarz w dłonie i pocałowałem. Mocno, z zaangażowaniem. Odpowiedziała. Zacisnęła dłonie na mojej talii. Oderwałem się pierwszy. Spojrzałem swojej dziewczynie w oczy ze skrucą. Monika

odpowiedziała delikatnym uniesieniem warg. Przesunąłem palcem po jej suchym policzku. Kryzys wydawał się zażegnany. Ucałowałem znajome usta ponownie, tym razem delikatnie i szybko.

— Pójdę już. — W moim głosie pojawiła się nutka żalu, choć tak naprawdę nie mogłem się już doczekać, aż opuszczę zatłoczony, głośny bar.

— Jak to? — zapytała Monika, kompletnie zaskoczona. — Myślałam, że później skoczymy do mnie.

— Muszę jutro wcześniej wstać. Poza tym jestem zmęczony.

— Och... — westchnęła zawiedziona. — To może pójdę z tobą?

Spojrzałem na nią ciepło, z lekkim pobłażaniem. Tak jak dorosły patrzy na dziecko, które opowiada głupstwa. Znów ją pocałowałem, by ostatecznie przypieczętować decyzję o wyjściu z baru.

— Dziękuję. Jesteś kochana, ale nie chcę cię męczyć. Jutro naprawdę muszę wcześniej wstać.

Spuściła wzrok na moją koszulę. Kąciki jej ust opadły. Wolno pokiwała głową. To mi wystarczyło. Oderwałem się od niej, chwyciłem marynarkę z oparcia ławy i rzuciłem szybkie pożegnanie w kierunku Tada i jego partnerki. W ciągu dwóch minut byłem już za drzwiami.



Rozdział 2

Most nocą

Odetchnąłem nocnym powietrzem wielkiego miasta, zmieszany z powiewem znad rzeki. Późna wiosna przyniosła ze sobą pierwsze upalne dni, ale wieczory i noce wciąż były chłodne. Dreszcz zimna przebiegł po moim ciele. Zarzuciłem na ramiona marynarkę i ruszyłem chodnikiem wzdłuż brzegu rzeki, w kierunku mostu.

Na bulwarach ciągle było sporo osób. Siedzieli na schodach przy rzece, śmiali się. Mijałem ich szybko. Hałas zaczął mnie drażnić. Mogłem spróbować przejść na wiadukt, potem przez ruchliwą dwupasmówkę prosto na przystanek autobusowy. Wiedziałem, że przynajmniej dwie linie zawiozłyby mnie prosto pod dom, ale po całej tej dyskusji o przeznaczeniu nie miałem ochoty korzystać z transportu publicznego. Wolałem się przejść. Pogoda była ładna, niebo bezchmurne. W sam raz, żeby odetchnąć.

Im dalej oddalałem się od baru, tym robiło się ciszej. Ogarniał mnie spokój. Spacer odprężał. Nogi same niosły naprzód. Przeszedłem pod wielkim, betonowym wiaduktem, prosto do schodów. Wspiąłem się na pierwszy poziom i wkroczyłem na platformę mostu. Tory tramwajowe były oświetlone, ale biegnąca obok ścieżka rowerowa tonęła w mroku, prawdopodobnie awaria oświetlenia. Spojrzałem w lewo, w kierunku przystanku. Na transport czekało kilka osób. Nie chciałem być jedną z nich. Nie dziś. Mogłem wejść jeszcze piętro wyżej

i iść chodnikiem wzdłuż jezdni, ale od południa zerwał się zimny wiatr, który przejął mnie dreszczem. Stalowa kratownica dawała więcej osłony niż otwarta przestrzeń na górze. Miałem ochotę się zbuntować, zrobić coś wbrew przepisom. Inaczej. Udowodnić Monice, że nie rządzi nami przeznaczenie, tylko nasze wybory. Nawet jeżeli ona nie mogła tego zobaczyć.

Ruszyłem na most mroczną ścieżką rowerową.

Pokonałem kilkanaście pierwszych metrów i odetchnąłem głęboko, patrząc na czarną wodę szerokiej rzeki w dole. Zatrzymałem się na chwilę przy barierce. Podziwiając nocną panoramę miasta, kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. Obejrzałem się. Właśnie mijają mnie kobieta w czarnej, skórzanej kurtce, z głową pochyloną nad telefonem. Wydawało mi się, że oprócz niej i mnie nikogo innego nie było na moście. Uśmiechnąłem się nieznacznie. Nie tylko ja łamałem dzisiaj zasady. Za moimi plecami przejechał tramwaj, drewniane deski turkotały pod żelaznymi torami.

Znów spojrzałem na rzekę. W oddali widziałem kolejny most i panoramę centrum. Ten widok uspokajał. Relaksował. Przymknąłem na chwilę oczy, wziąłem głęboki, oczyszczający oddech. Byłem gotowy wracać do domu. Wolno ruszyłem dalej. Po kilkunastu krokach usłyszałem głosy. Zmarszczyłem brwi, zwolniłem i przed sobą zobaczyłem ciemne sylwetki dwóch osób. Wraz z pokonywaniem kolejnych metrów zacząłem rozróżniać słowa, a postaci stały się wyraźniejsze. Jedna była niższa i szczupła. To musiała być kobieta, która minęła mnie chwilę temu. Drugą — wyższą i tęższą osobą, stojącą blisko barierki — okazał się mężczyzna.

— To jednak nie jest dobry pomysł. Mimo wszystko — usłyszałem kobiecy głos.

— Ostatnio mam same złe pomysły. — Ton odpowiedzi ociekał ironią.

Kobieta przysunęła się bliżej. Wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć stojącego obok, ale zmieniła zdanie. Zamiast tego położyła obie dłonie na stalowej balustradzie. Zatrzymałem się w pewnej odległości. Scena wydała mi się intymna. W jakiś sposób... prywatna. Jakbym patrzył na coś, na co nie powinienem.

— Chodziło mi o to, że woda o tej porze roku jest jeszcze dość chłodna — powiedziała kobieta i podsunęła się o kolejny, mały krok bliżej, a potem przechyliła przez barierkę. Spojrzała na rzekę w dole.

Jej towarzysz zdawał się uważnie obserwować nieznaną, niczym sarna zamarła przed zbliżającym się wilkiem.

— Wysoko tu... — dodała drżącym głosem.

Mężczyzna też spojrzał na płynącą w dole wodę. Nawet z tej odległości i w mroku, jaki panował na moście, widziałem dokładnie, że wzdrygnął się i zachwiał.

— Nie aż tak... — odpowiedział. — Ale wystarczy.

Kobieta wyprostowała się, odsunęła od barierki i pochyliła. Mężczyzna momentalnie skupił na niej wzrok.

— Co pani wyprawia?!

— Nigdy nie skakałam do wody z wysokości. W ogóle raczej należę do tych osób, które do każdego jeziora wchodzi wolno, co chwilę namaczając kolejne partie ciała — powiedziała opanowana i zdjęła kolejno: jeden but, potem drugi. — Wyjątek stanowi basen. Tutaj jestem trochę sprawniejsza w zanurzaniu się, ale tylko pod warunkiem, że wcześniej wezmę zimny prysznic, choćby kilkuminutowy. Rozumie pan? — kontynuowała swój wywód spokojnym, zrównoważonym głosem, jakby prowadziła zwykłą rozmowę w biurze podczas przerwy na kawę. — Organizm przyjmie pierwszy szok zimna, a potem to już tylko trzeba szybciotko przejść na halę basenową i zanurzyć się w wodzie, która z reguły jest jednak cieplejsza niż ta w prysznicach w szatniach. Też pan tak uważa?

— Ja... co? Nie podchodź!

Kobieta zignorowała go. Podsunęła się bliżej, podciągnęła krótką, ciemną sukienkę powyżej uda, a mnie serce stanęło w piersi. Nim zdążyłem choć drgnąć, nieznajoma przełożyła najpierw prawą nogę, a potem lewą nogę nad stalową osłoną i znieruchomiła na niewielkim betonowym występie po drugiej stronie.

Szybko ruszyłem naprzód, gotów rzucić się na pomoc i złapać kobietę, nim spadnie, albo skoczy. Jednak kolejne słowa mężczyzny spowodowały, że zamarłem.

— Oszalałaś! Zejdź stąd natychmiast, zanim spadniesz!

— Przeszliśmy na ty? — zapytała. — Cieszę się. Tak będzie lepiej. Ja...

Po torach przemknął kolejny tramwaj, zagłuszając wszystkie dźwięki i na kilka chwil oświetlając scenę przed moimi oczami. Dopiero teraz zrozumiałem, że mężczyzna również stał na krawędzi mostu, tuż po drugiej stronie barierki. Cała krew odpłynęła mi z twarzy. W oczach pojawiły się czarne plamki. Nogi zmiękły. Tramwaj odjechał, a my znów pograżyliśmy się w półmroku słabego oświetlenia.

— Marek — powiedział mężczyzna drżącym głosem.

— To co, Marku? — zapytała kobieta i podsunęła się jeszcze bliżej rozmówcy. — Skaczymy?

Spojrzał na nią zdezorientowany. Potem na wodę w dole. Wreszcie skinął głową. Niczym w zwolnionym tempie patrzyłem, jak przechyla się do przodu, choć ciągle jeszcze trzymał się obiema rękoma barierki. Serce stanęło mi w gardle.

— Ale zanim to zrobimy — zaczęła nagle kobieta, wprowadzając nas obu w stan czujności — może powiesz mi, dlaczego w ogóle będziemy dziś skakać? Pogoda taka średnia na kąpiele. Woda na pewno jest jeszcze bardzo zimna. Nie lepiej poczekać, jak zrobi się cieplej?

— Kpisz ze mnie? — Marek podniósł głos.

— Nie. Mówię całkiem poważnie — odpowiedziała tym samym spokojnym tonem swobodnej rozmowy. Zaraz jednak z przyganą

dodała: — Miałeś mi zdradzić, dlaczego tu jesteśmy. Nie zmieniaj, proszę, tematu, kiedy robi się interesująco.

Marek wydawał się skołowany. Przez chwilę patrzył na kobietę, potem uniósł wzrok na miasto i ciężko westchnął.

— Mam już dość. — Jego cichy głos ledwie dotarł do miejsca, w którym stałem.

Zachowywał się spokojnie, więc i ja nie wykonywałem gwałtownych ruchów. Wyglądało na to, że ani on, ani kobieta nie zauważyli mojej obecności. Powoli sięgnąłem do kieszeni marynarki w poszukiwaniu telefonu. Trzeba było wezwać policję. Sprawa robiła się zbyt niebezpieczna.

— Życie mnie przerosło. Wszystko mnie już przerosło. — Głos mężczyzny, zduszony i niewyraźny, coraz bardziej się łamał. — Nic już nie ma sensu. — Tłumiony szloch zniekształcał słowa.

Sprawdziłem kieszeń marynarki, potem drugą. Jeszcze w spodniach. Pusto. Przekląłem w myślach. Gdzie on jest...? Gorączkowo prześledziłem swoje kroki. W barze na pewno go miałem... Tad! Chwyił mój telefon, gdy Monika zalała stolik. Potem zapomniałem go zabrać. Cholera.

— Opowiesz mi dlaczego? — zapytała łagodnie kobieta.

— Po co? — odparł Marek opryskliwie, tonem przesiąkniętym rezygnacją i gniewem. — Co cię to w ogóle obchodzi?

— Obchodzi — stwierdziła z absolutną szczerością. — Powiedz proszę. Zresztą jaka to dla ciebie różnica? I tak chcesz skoczyć. Możesz mi powiedzieć wszystko, na co masz ochotę. Przecież w żaden sposób nie wykorzystam tego przeciw tobie. To jak?

Mężczyzna milczał dłuższą chwilę. Przysunąłem się krok bliżej. Może powinienem podbiec do barierki i po prostu chwycić go w pasie...? Ale co potem? Nie byłem pewien, czy dam radę go utrzymać. Wyglądał na masywnego. Jeżeli zacznie się szarpać, możemy

spaść obaj. A co, jeżeli przy okazji przestraszę kobietę i to ona straci równowagę, kiedy będę ratował niedoszłego samobójcę?

W końcu Marek się odezwał.

— Tydzień temu straciłem pracę.

— Lubiłeś ją? — Kobieta stojąc nieruchomo, intensywnie się w niego wpatrywała.

— Nie bardzo — przyznał po chwili. — Ale pozwalała płacić rachunki. To było ostatnie, co trzymało mnie w jako takim pionie. Moja praca była tą ostatnią nitką, która jeszcze trzymała w kupie ten worek chaosu, jakim stało się moje życie. Póki pracowałem, jeszcze wierzyłem, że się do czegoś nadaję. A teraz? — zaśmiał się gorzko, bez cienia humoru. — Jestem nikim. Zupełnie nikim.

— Masz rodzinę? — zapytała znowu tym samym spokojnym głosem.

— Żonę, Marię. I dwóch synów. — Głos mężczyzny się załamał, a chwilę potem usłyszałem szloch. Marek oderwał jedną rękę od balustrady i zakrył dłonią oczy.

Kobieta zrobiła szybki krok w jego stronę i stanęła jeszcze bliżej, ale ciągle go jeszcze nie dotykała.

— Kochasz ich?

Energicznie pokiwał głową.

— Najbardziej na świecie.

— Wiec dlaczego tu jesteś?

— Nie zasługuję na nich. Są wspaniali. Moi synowie... to takie zdolne dzieciaki. Inteligentne. Ciągłe się biją, ale gdy tylko Maria albo ja karcimy jednego, drugi zaraz staje w jego obronie. Ich narodziny były najszcześniejszymi dniami w moim życiu. Nie zasłużyłem na nich. Co mogę im dać? Zwłaszcza teraz... bez pracy?

— A Maria? — zapytała, szybko zmieniając temat. — Jaka ona jest?

— Wspaniała. Znamy się już tyle lat. Wiele znosiła w naszym małżeństwie. Moje głupie pomysły... Ale czuję, że odsunęliśmy się od siebie. Już praktycznie nie rozmawiamy. Nie spędzamy razem

czasu. To też jest moja wina. Byłem taki zapracowany. Wracalem do domu zmęczony. Na nic nie miałem ochoty. W ogóle nie spędzałem czasu z rodziną, bo myślałem, że im więcej będę pracował, tym lepszą przyszłość im zapewnię. A oni tymczasem zaczęli wieść życie beze mnie. — Marek głośno pociągnął nosem i znów zaszlochał krótko. — Nawet już ich dobrze nie znam. Nie wiem, czym się pasjonują moi synowie, jakie koleżanki ma moja żona... Jestem okropnym człowiekiem.

— Nie jesteś — powiedziała z absolutną pewnością nieznajoma. — Byłeś tylko za bardzo zapracowany. I jak tak teraz mi o tym mówisz... to naprawdę żałujesz, że cię zwolniono?

— Oczywiście! — zawołał nagle zły. — To było główne źródło utrzymania mojej rodziny! Jak teraz zapłacimy za zajęcia pozalekcyjne, obozy i wakacje? Jak będziemy spłacać kredyt za mieszkanie? Maria zarabia, ale nie aż tak dobrze. Właśnie dlatego tak harowałem. Chciałem, by mieli wszystko. Piętnaście lat poświęciłem tej firmie. Oddałem im najlepsze lata mojego życia. Tyle nadgodzin... projektów... Jak oni mogli mnie tak po prostu zwolnić? To koniec. Koniec... Nic już nie ma sensu. Gdy wróciłem wtedy do domu i... i... zresztą nieważne.

— Powiedz mi, proszę. — Jej głos był tak cichy, że ledwie go słyszałem.

— Tego dnia, gdy dostałem wypowiedzenie ze skutkiem natychmiastowym... Bo widzisz, likwidowali stanowiska. Redukcja etatów. Wróciłem do domu i powiedziałem żonie... a ona... Zresztą nieważne, pokłóciliśmy się. Strasznie. Wyszedłem z domu, żeby ochłonać, a gdy wróciłem, już jej nie było. Ani jej, ani chłopców. Spakowała ich i wyjechała. Zostawiła tylko na stole kartkę, z informacją, że na jakiś czas przeprowadzają się do jej rodziców za miastem.

— Przykro mi. — Głos kobiety brzmiał szczerze. Jej ton go rozbroił.

Marek skulił wielkie ramiona, pochylił głowę i wybuchnął płaczem. Nieznajoma przysunęła się bliżej i położyła dłoń na jego plecach. Drugą ręką kurczowo trzymała się barierki. Marek wzdrygnął się pod tym dotykiem i gwałtownie odsunął. Oboje zachwiali się niebezpiecznie. Goła stopa kobiety ześliznęła się z kawałka betonu. Nieznajoma na ułamek sekundy straciła równowagę, ale w ostatniej chwili chwyciła się rękoma barierki.

Wstrzymałem oddech, zamarłem w bezruchu. Nogi miałem jak z ołowiu. Nie mogłem nawet drgnąć.

— Nie podchodź! — krzyknął desperacko Marek.

— Pamiętam — odezwała się drżącym głosem — jak zaraz po studiach byłam pełna entuzjazmu. — Wydawało się, że mówi bardziej po to, by uspokoić samą siebie, a nie grożącego skokiem mężczyznę. — Dostałam pracę w wielkiej firmie, dobrą pensję i godziny nieprzerwanego zajęcia. I myślałam, że byłam szczęśliwa. Pracowałam tam dwa lata. — Zwróciła twarz w kierunku Marka. — Pewnego dnia spóźniłam się z jakimś głupim raportem. O godzinę. Nie dostarczyłam go w porę na spotkanie zarządu. Dyrektor, którego odpytano z tego raportu, znalazł mnie potem na korytarzu i nie patrząc na to, kto jest obok i kto słucha, nawrzeszczał na mnie. Krzyczał tak głośno, że ludzie wychodzili ze swoich pokoi, by zobaczyć, co się stało. A ja tylko tam stałam. Byłam taka przerażona i zaskoczona, że nie mogłam znaleźć choćby słowa na swoje usprawiedliwienie. Gdy skończył wreszcie krzyczeć, odwróciłam się na pięcie i ruszyłam do swojego pokoju na innym piętrze. Po drodze chyba nawet zaczęłam płakać, ale wtedy to do mnie nie docierało. Działalam jak automat. Weszłam do pokoju, usiadłam przy swoim biurku. Zupełnie zignorowałam wszystkie te troskliwe i ciekawskie „Co się stało?”. Odblokowałam komputer i przez chwilę po prostu gapiłam się na otwartą pocztę. A potem napisałam wypowiedzenie. Nie pamiętam, jak składałam dokument ani jak wychodziłam z firmy. Ocknęłam się dopiero w swoim mieszkaniu.

Ryczałam chyba przez dwa dni. Nie chciałam wyjść z łóżka. Zaczęłam żałować, że postąpiłam tak pochopnie. Bo przecież każdy może się zdenerwować, prawda? Stracić cierpliwość. To nie znaczy, że trzeba od razu rezygnować z pracy. Ale skoro już to zrobiłam... złożyłam wypowiedzenie w takich okolicznościach... to wydawało mi się, że nic z tym już zrobić nie mogę. Nie wycofam przecież wypowiedzenia, bo co niby powiem? Zmieniłam zdanie? Już mi przeszło, chcę wrócić do pracy? Raz, że pewnie po takim numerze i tak by mnie zwolniono. A dwa, że po prostu moja duma buntowała się przeciw takiemu upokorzeniu. Wykorzystałam więc zaległy urlop i odeszłam. I wiesz co? Okazało się, że to była najlepsza decyzja, jaką mogłam podjąć. Przez to, że byłam bez pracy, mogłam zastanowić się nad sobą i nad tym, czego naprawdę chcę od życia. Co sprawia mi przyjemność.

— Miałaś szczęście — powiedział ponuro, ale już spokojnie. Zdało się, że ta opowieść wciągnęła go na tyle, by na chwilę zapomniał o własnej rozpacz. — Mnie nic już nigdy nie będzie sprawiać przyjemności. Lepiej, żebym umarł.

— A twoja rodzina? Nie sprawia ci radości obserwowanie, jak twoje dzieci dorastają? Jak cieszą się, kiedy odnoszą sukcesy?

— Tak, ale...

— Czy naprawdę myślisz, że twoi synowie kochają cię tylko za to, że płacisz za ich zajęcia dodatkowe i wyjazdy na obozy?

— Nie, ale...

— Wiesz, że nie tylko pieniądze im dajesz, prawda? — znów mu przerwała. — Bo to akurat jest najmniej ważne.

— Co jeszcze mogę im dać, co ma znaczenie?!

— Miłość. Oddanie. Opiekę. Swoją uwagę. Czy to za mało?

Spojrzała prosto w jego oczy, a on po raz pierwszy odwzajemnił spojrzenie. Przysunęła się mały krok w jego stronę. Widział, ale tym razem nie zareagował.

— Nie zasługuję na nich — powiedział cicho. — Poza tym Maria nie chce mnie znać. Nie wiem, czy ich jeszcze kiedyś zobaczę. To koniec.

— Spójrz na mnie — zażądała kobieta nadzwyczaj stanowczo, gdy Marek zaczął odwracać głowę w kierunku wody. Natychmiast poderwał wzrok w jej stronę, zaskoczony tym tonem. — Nic nie jest skończone, dopóki mamy siłę i wolę walczyć o to, co ważne. Nic. Kochasz ich?

— Bardzo — odpowiedział cicho, nie odrywając wzroku od jej oczu.

— Bardziej niż samego siebie?

— Bardziej niż życie — wyszeptał.

— Więc co tutaj robisz? — zapytała ciszej, łagodniej. — Zamiast oddać życie zimnej rzece, oddaj je Marii i swoim chłopcom. Oni przyjmą je z większą wdzięcznością niż woda w dole.

Marek spojrział na czarną taflę falującej rzeki. Potem na kobietę. Znow na wodę. Zaczął się wahać. Widziała to.

— Odeszła ode mnie, bo straciłem pracę. — Opór w jego głosie słabł.

— Znajdziesz inną pracę — powiedziała z niezachwianą pewnością.

Marek patrzył na nią z oczekiwaniem i powątpieniem.

— Twoje życie będzie dokładnie takie, jakim zdecydujesz, że będzie. Tylko od ciebie zależy, czy zejdiesz z tej poręczy i będziesz walczył o swoją rodzinę, o to, co ważne, czy wskoczysz do lodowatej rzeki, żeby złamać kark przy upadku. O ile będziesz miał tyle szczęścia. — Spojrzała wymownie w dół. — Choć w sumie śmierć z wychłodzenia nie jest podobno taka straszna. Chociaż ja bym wołała jednak złamać kark, jeżeli już do tego dojdzie i zdecydujesz, że mimo wszystko skaczymy.

— Złamać... kark? — Z trudem przełknął ślinę. Znow spojrział na rzekę, tym razem z przerażeniem.

— No tak. Powiedziałam ci przecież. Ty skaczesz, ja skaczę. A tutaj jest ile...? Z dziewięć metrów do wody? Teraz jest dość ciemno, ale może woda jest już na tyle głęboka po wiosennych roztopach, że